

Róże, muzyka i ekonomika

Rozmowa z prof. Edwardem Taylorem

U jubilat

Znakomity uczony, profesor ekonomii Uniwersytetu Poznańskiego Edward Taylor, obchodził niedawno 25-lecie swej pracy naukowej. Dwa tygodnie młodzieży narodowej w Poznaniu „Głos” przynosi w ostatnim numerze wywiad z prof. Taylorem, którego zasługi zarówno naukowe, jak i pedagogiczne są wysoko cenione w całej Polsce. Oto co pisze „Głos”:

Willi z ładnie utrzymanym ogródkiem. Dzwonimy. Prof. jest, ale w ogrodzie. Idziemy więc do niego. Jest bardzo zajęty — sady róże... Wita nas serdecznie, przerywając swą pracę:

— Nie dziwicie się mojemu zajęciu, gdyż najpiękniejsze rzeczy na świecie to róże, muzyka, no i ekonomika.

— Właśnie przyszliśmy do Pana Profesora w związku z tą ostatnią. Pozwalamy sobie w imieniu redakcji „Głosu” złożyć Panu z głębi serc naszych płynące życzenia z okazji 25-letniego jubileuszu Jego pracy naukowej i...

— Ależ dajcie panowie spokój, — przerywa nam profesor żywo — jak widać wcale się nie uważam ani ze względu na rezultaty mej pracy, ani też ze względu na siły. Dopiero dochodzę w pełni sił do najlepszego okresu pracy, w którym mam nadzieję, że będę mógł przedstawić syntezę mych poglądów. To tylko niezmierznie dla mnie życiowi moi byli uczniowie chcieli mi okazać swą przyjaźń, której nie przerwało ukończenie przez nich studiów i wejście w życie praktyczne. Poświęcili więc szereg artykułów w różnych pismach, tak skromnej, naszej wewnętrznej, że tak powiem, rocznicy, jak 25-lecie mego doktoratu, o której wiedzieli, pozostając ze mną w życzliwych stosunkach, 25-lecie pracy nie jest jeszcze żadną okazją do jakichkolwiek uroczystości. Jubileusz jest niestety zwykłe honorowe pożegnaniem kogoś, a ja tymczasem dopiero czuję się na progu mej twórczości.

Kontakt z uczniami

— Słyszeliśmy o tem, że Pan Profesor zainicjował nowe formy kontaktu ze swoimi b. uczniami...

— Gdy się kogoś lubi i utrzymuje stosunki przyjacielskie, to zawsze znajduje się jakieś formy współzycia. Otóż przypadkiem, zdaje się, wpadliśmy na miłą i rzeczywistą pożyteczną formę współzycia mych uczniów między sobą i ze mną, jako ich dawnym profesorem, na tle wspólnych naszych zainteresowań ekonomicznych. Podczas jednej z wycieczek mego seminarium w 1922 r., pamiętam to doskonale, na Gople, siedząc na łódkach, postanowiliśmy schodzić się co miesiąc, by przy piwie obgadywać obchodzące nas sprawy ekonomiczne. Zwy-

czaj ten zaszczepił się w innych miastach, gdzie przebywają b. członkowie mego seminarium. W ten sposób powstało „Koło Senjorów Seminarium prof. Taylora”, które poza temi towarzysko - naukowymi zebraniem postawiło sobie za cel wydawanie „Poznańskich Prac Ekonomicznych”, które obejmują prace doktorskie i inne, wychodząc z mego seminarium, wspomaganie się wzajemnie, ułatwianie sobie pracy naukowej itp. Obecnie drukuje się 20-ty zeszyt P. P. E. i w roku „bieżącym” ma się odbyć czwarty zjazd wszystkich członków Koła Senjorów. Mam wrażenie, że ta forma współzycia przynosi wiele tak mnie, jak i innym współuczestnikom. Czyniacy w praktyce życiowej członkowie Koła nie zrywają kontaktu z teorią, utrzymują swe zainteresowanie dla niej, pracując zaś teoretycznie znajdują łatwe źródła informacji o bieżących sprawach, któreby inaczej uszły ich uwagi. Zdaje się, że jest to bodaj jedyna w Polsce organizacja, w której ludzie różnych przekonań politycznych potrafią z sobą spokojnie dyskutować w sprawach bieżących, wzajemnie się szanować, przyjaźnić i współżyć. Pozatem utrzymują żywy kontakt z Związkiem Ekonomistów w Poznaniu, który grupuje absol-

wentów studium ekonomiczno-politycznego.

Szkoła poznańska i krakowska

— Jak pan Profesor jest zadowolony z rezultatów swej pracy pedagogicznej? Ogólna opinja głosi, że uczniowie Pańscy stanowią szkołę ekonomiczną bodajże jedyną w całej Polsce.

— Jedyną to ona nie jest, można mówić również i o krakowskiej szkole ekonomistów. Rzeczywiście jednak wielokrotnie słyszałem, że moi uczniowie mają jakby jakąś jednolitą fizjognomię naukową. Sami to zresztą również stwierdzają. Przypisuję to temu, że uważam za zupełnie bezcelową i niewłaściwą propagandę jakichkolwiek poglądów gospodarczo - politycznych z katedry. To są rzeczy według mnie drugorzędne i dla nauczania obojętne. Nacisk natomiast zawsze kładę na dokładne obznajmienie mych uczniów z podstawami teorii ekonomiki i nauczanie ich ścisłego ekonomicznego myślenia. W ten sposób uzyskują oni gruntowne podstawy, a jakie do tego dodadzą sobie pozaekonomiczne przesłanki, to już jest ich rzeczą. Jeżeli co nadaje mym uczniom tę jednolitą fizjognomię, to właśnie należyte zrozu-

mienie znaczenia teorii i umiejętność operowania nią, przyzwyczajenie do wyprowadzania wniosków praktycznych z teorii i odwrotnie wiązania zagadnień praktycznych z podstawami teoretycznymi. Temu też przypisuję, że uczniowie moi cieszą się, jak to obserwuję, naogół powodzeniem w życiu praktycznym. Niestety tylko, życie praktyczne przeważnie wyrwywa mi ich poprostu spod ręki. Dlatego nie mogę jeszcze się poszczycić jakąś poważniejszą ilością mych uczniów, oddających się trwałej pracy naukowej. Jest to źródłem znacznej dla mnie przykrości. Jednak obecnie, gdy życie gospodarcze nie potrzebuje już tylu nowych sił wykwalifikowanych, jak to było jeszcze doniedawna, stosunki te zmieniają się coraz wyraźniej na lepsze.

Praca naukowa

— Może teraz Pan Profesor będzie łaskaw powiedzieć nam słów parę o swej pracy i zainteresowaniach naukowych...

— Forsownie dosyć prowadzone zajęcia pedagogiczne musiały się naturalnie odbić na własnej mej pracy naukowej. Z drugiej zaś strony wydawało mi się, że obywatelskim mym obowiązkiem jako profesora jest starać się o pracowywać i oświeć naukowo przedewszystkiem bieżące zagadnienia gospodarcze i w ten sposób służyć narodowi według możliwości i sił w jego trudnym od początku powstania państwa polskiego położeniu. Dlatego też nie mogłem dotychczas oddać się w tej mierze jakbym pragnął tym zagadnieniom, które mnie najbardziej pasjonują, a zajmowanie się nimi robi mi największą przyjemność. Są to mianowicie zagadnienia czysto metodologiczne i najistotniejsze teoretyczne ekonomiki. Mam nadzieję, że teraz po „jubileuszu”, jak to panno nazywacie, gdy warsztat pracy mam już zorganizowany, a życie niebardzo się chce pytać o zdanie teoretyków, będę mógł narzeczcie poświęcić się im należycie. Przygotowuję obecnie czysto teoretyczny „Wstęp do ekonomiki”, po którym, jeśli Bóg da, pójda: „Teoria produkcji i wymiany” oraz „Teoria dystrybucji i zmian życia gospodarczego”.

Na tem zakończyła się nasza rozmowa z prof. Taylorem. Dodajmy ze swej strony, że w swym tak skromnie przez siebie określonym dorobku naukowym, uczony ten posiada takie pierwszorzędne pozycje, jak: „Pojęcie spółdzielczości” (1916), „Statystyka i dynamika w teorii ekonomiki” (1919), „Prawo skarbowe Rzplitej Polskiej” (1920), „Inflacja polska” (1926), „Finanzpolitik und Steuersystem der Republik Polen” (1928), „Uwagi o polskiej polityce pieniężno - kredytowej” (1932) i wiele innych.

Mówią... piszą...

List Świętochowskiego

Znakomity pisarz Aleksander Świętochowski ogłosił w „Kurjerze Warszawskim” list następującej treści:

„Szanowny Panie Redaktorze! Już trzeci rok dowiaduję się z gazet, że jestem umieszczony między kandydatami do nagrody literackiej w Warszawie. Ponieważ nie mam do niej ani pretensji, ani chęci, przeto za pośrednictwem Pańskiego pisma proszę odośno komisję, ażeby mnie raz na zawsze usunęła z „ogonka” oczekujących na jej wyrok.

Gołotczyzna, w maju 1934 r.
Z szacunkiem
Aleksander Świętochowski”.

Wysuwanie Świętochowskiego kilkakrotnie do nagrody War-

wy, i to za każdym razem na posłednim miejscu, słusznie wzbudzić mogło nęstora współczesnej literatury polskiej. Kandydatura Świętochowskiego jest bowiem kandydaturą taką, która albo powinna była znaleźć od razu jednomyślną aprobatę, albo jej wogóle wysuwać nie należało. Zbyt wielkie to imię w naszej literaturze, by mogło się znajdować w „ogonku” nagrodowym. Dziwi tylko, że nikt z członków jury nie zdał sobie dotąd sprawy z niewłaściwości i grzeszek nazwiskiem wielkiego pisarza, i że aż sam Świętochowski musiał wystąpić w swojej obronie.

Na ekranach

„Bunt w Szanghaju” („Casino“)

Zupełnie dobry film. Największą bodaj zaletą jest w nim naprawdę doskonała fotografia, niedarmo podpisana nazwiskiem Lee Garmes’a, jednego z pierwszych operatorów świata. Potrafił on zapieścić czworokąt ekranu taką harmonją światła, kształtów i ruchu, że widać chwilami zapomina o intrzydze, choć i ona dostarcza ciekawych wrażeń.

Oto dzielny oficer marynarki wojennej U. S. A., którego sroga dyscyplina stawia poza nawiasem ukochanej pracy. Przypadkowo spełniony dobry uczynek umożliwił mu zarobkowanie, w bardzo zresztą „niereprezentacyjnej” służbie. Bezinteresowne bohaterstwo, wykazane w obronie misji amerykańskiej w Szanghaju przeciw chińskim rewolucjonistom, przywraca mu stanowisko, a wraz z nim — rękę pożądaną i po uszy w nim zadurzonoj jedynaczki. Spence Tracy w roli dziarskiego i trochę nieokrzesanego marynarza bardzo naturalny i pelen wyrazu.

Brzydota jego, nad którą może zaszczoła niejedna wielbicelka malowanych lalek na ekranie, — pasuje doskonale do roli. Fay Wray, nieco laikowata jedynaczka, ma niemiłe dla kobiety zadanie: gonić za chłopcem i rzucać mu się pierwszą w objęcia. Ralph Morgan jest czarującym starszakiem, ale na Chińczyka nie wygląda. Role epizodyczne obsadzono doskonale. Reżyser John Blystone wytrawną ręką pusił w ruch całą machinę filmu. Szkoda, że nie skrócił trochę niektórych dialogów. Sceny walki ulicznej w Szanghaju ciekawe, choć niecałkowicie wyzyskane. Trup młodego Chińczyka - komunisty absolwenta uniwersytetu w Harvard daje dużo do myślenia.

Nad program szereg dodatków, wśród których wyróżnia się przelicznymi zdjęciami reportaż z Belgii, szkoda, że ograniczony do Antwerpii, Ostendy i Brukseli.

A. R.

Pierwszy utwór Przybyszewskiego

W ostatnim zeszycie „Wici Wielkopolskich” dr. S. Helsztyński ogłasza notatki S. Przybyszewskiego, stanowiące pierwszy utwór piarsza, tworzący wówczas tylko w języku niemieckim. Jest to kilka kartek z pamiętnika, opisujących spotkanie z młodą panią, która pełniła obowiązki guwernantki w ziemiańskim domu. Spotkanie to miało rzeczywistie miejsce w życiu Przybyszewskiego, mianowicie w roku 1892, w czasie jego pobytu w Wągrowcu. W trzy lata

poźniej, pisząc trylogję „Homo Sapiens”, w powieści „Po drodze” Przybyszewski odzworzył ten epizod uczuciowy z wielką dokładnością. Panią z wągrowieckiego dworu stała się prototypem bohaterki powieści Maryty Kauer. Pierwszy utwór Przybyszewskiego został opiarowany tej, która go natchnęła i w jej posiadaniu znajduje się do dziś dnia. Ponieważ właścicielka sztambuchu żyje dotychczas, dr. Helsztyński nie wymienia jej nazwiska.

Zamknięcie „Cyganerii” Artyści tworzą nowy teatr

Kryzys wiosenny w teatrach ogarnął również i „Cyganerię”. Wobec niewypłacania przez dłuższy czas pensyj, aktorzy zerwali przedstawienia i teatr został zamknięty. Jak słychać, artyści „Cyganerii” przystąpili do zorganizowania własnego teatru. Teatr ten pod nazwą Stara Banda mieścić się ma w sali jednego z kinoteatrów warszawskich (Hollywood). Dotychczasowa dyrekcja została całkowicie wyeliminowana przez pokrzywdzonych aktorów.

Podróżuj samolotem

widowiska scenicznego, tak charakterystyczna dla polskiego dramatu od „Dziadów” Mickiewicza, poprzez „Wesele” Wyspiańskiego do „Marcholta” Kasprzowicza. Te dwa elementy: polskość i nastroj misterjum wydobyl Kondracki w orkiestrze znakomicie. Zarówno ten moment, kiedy przechodzą przez scenę aniołowie, jak i rozbukany żywiołowy oberek, którym kończy się opera, wywierają na widzu i słuchaczu wrażenie silne. Natomiast zespolenie wokalnego materiału opery z materiałem orkiestrowym nie wypadło przekonywująco. Kondracki nie czuje się dość pewnie w odczuciu możliwości ekspresji głosu ludzkiego. Partie wokalne pisane są niewygodnie, nie dają artystom sposobności wyśpiewania się, giędną częstokroć w pełnem brzmieniu orkiestry. Wreszcie — zbywa Kondrackiemu na inwencji melodyjnej. Mocną natomiast stroną talentu Kondrackiego jest rytmika i kolorystyka. Toteż fresku operowego, malującego obręb popielin, słuchało się z dużem zaciekawieniem, i gorąco biło się okłaski kompozytorowi za jego poważny wysiłek.

Operę prowadził świetnie z werwą i dojrzałością artystycz-

na, młody kapelmistrz Miękowski. Wykonanie śpiewacze nie osiągnęło już tego poziomu, który kapelmistrz wydobyl z orkiestry. Odnosiło się wrażenie, że śpiewacy niezupełnie jeszcze opanowali swe partje. Podobnie i reżyserja miała wszelkie znamiona czegoś niedokończonego i niegotowego. Dekoracje Jarockiego były swojego rodzaju, ale niefortunna powtórka pomysłów dekoracyjnych Wypiańskiego do „Bolesława Śmiałego”.

Jednoaktową operę Kondrackiego uzupełniło wznowienie baletu Eugenjusa Morawskiego „Świtezianka”. Świetny ten utwór muzyki baletowej, odnajdujący swój sens istotny dopiero w zespoleniu z gestem scenicznym i tłem malarzkiem widowiska, wywarł wrażenie równie doskonałe, jak na premierze. Orkiestra pod batutą Bierdajewa brzmiała znakomicie — natomiast strona choreograficzna wiele pozostawiała do życzenia. Rytmika baletu na scenie raz po raz rozmięła się z muzyką. Nie odnosi się to bodaj do jednej Leitkówny, która w roli tytułowej sukces odniosła wielki.

Stanisław Piasecki

Z muzyki

Popieliny Opera Michała Kondrackiego w Teatrze Wielkim

W dziedzinie opery są w polskiej muzyce do odrobienia zaległości olbrzymie. Na dobrą sprawę pomiędzy Moniuszką, a Szymanowskim jest pustka. Twórczość operowa Żeleńskiego nie nie popchnęła sprawy naprzód w czasach pomoniuszkowskich, tem mniej zaś zaważyli na rozwoju naszej opery anemiczni epigoni wagnerizmu z współczesnego, nam pokolenia kompozytorów starszych. Samorodność inwencji, twórcza odkrywczość narodowych źródeł muzyki operowej, zaczęła się i urwała na Moniuszce.

Twórczość Karola Szymanowskiego nie nawiązywała nigdy do tradycji moniuszkowskich. Od pierwszych preludjów fortepianowych była kontynuacją górnej i chmurnej linii chopinowskiej. Ale, że środkiem wypowiedzania się Chopina był tylko fortepian, przed Szymanowskim stanęło olbrzymie zadanie rozbudowania

muzyki polskiej w symfonie, oratorja, kwartety, utwory skrzypcowe. Była to w lwiej części praca pionierska. Niewiele w tych wszystkich dziedzinach stworzyła muzyka polska do Szymanowskiego utworów, któreby miały dość siły wewnętrznej, aby wejść w krew naszej kultury muzycznej.

Nie ominął również Szymanowski dziedziny opery. Zarówno jednak „Hagith”, jak i „Król Roger”, pochodzą z tego okresu, kiedy Szymanowski najbardziej oddalił się od źródeł muzyki narodowej, ulegając sugestjom Wschodu. Ale nie to może nawet sprawiło, że z całego dorobku kompozytorskiego Szymanowskiego, właśnie te dwie opery najmniej znalazły w nas zrozumienia i odczucia. Przyczyna była głębsza. Jeśli idzie o operę, tradycja Moniuszki jest w każdym Polaku po dziś dzień tak żywa i silna, że z trudnością przycho-

dzi pogodzić się z utworami operowymi, które nie są ewolucją muzyki moniuszkowskiej, ale w stosunku do niej — rewolucją. „Hagith” i „Król Roger” — to najwyraźniejsze szczyty polskiej twórczości operowej, ale szczyty skaliste i samotne, stojące w mgłach, i odcięte od tak nam doskonale znanego i tylekroć zwiedzanego labiryntu regli, gdzie moniuszkowskie jodły szumią na gór szczyty.

Michał Kondracki, jedyny z kompozytorów naszego młodego pokolenia, który dotąd odważył się wypowiedzieć w formie operowej, niezawodnym instynktem odczuł, co stanowi najpilniejsze zadanie twórczości operowej w Polsce. Jego „Popieliny”, świeżo wystawione w Teatrze Wielkim w Warszawie, to próba przetrwania mostu od Moniuszki do Szymanowskiego. Nie wiem, czy kompozytor postawił sobie świadomie takie właśnie założenie. Jeśli nie — to tem lepiej świadczy to o intuicji artystycznej Kondrackiego. Słuchaczowi „Popielin” narzuca się zestawienie nazwisk Moniuszki i Szymanowskiego od pierwszych scen opery, by przejść w pewność zupełną zwłaszcza podczas arji króla, traktowanej po mo-

nuszkowsku, a podmalowanej orkiestrowo nawskroś nowoczesnie.

Trzeba tu od razu powiedzieć, że próba podjęta przez Kondrackiego jest próbą karkołomną. Moniuszko i Szymanowski — to wielkości różnowymiarowe. Nie tak łatwo znaleźć między nimi łącznik. Już to samo, że Kondrackiemu udało się wyjść z zadania obronną ręką — to dużo. Ale, oczywiście, do idealnego rozwiązania sprawy jeszcze daleko.

Trudnością dodatkową stało się dla kompozytora libretto, nie-najszczęśliwiej zaczerpnięte z pierwszego aktu kasprzowowskiego „Marcholta”. Brak żywzię akcji, niezarysowanie wyraźne typów, a wreszcie ryzykowna sceniczna sytuacja (w przyległej izbie odbywa się pológ, na scenie zaś zbierają się marcholciw sąsiedzi na uroczystości popielin, na poczęstunek z okazji urodzin syna) — wszystko to nie sprzyjało, rzecz prosta, możliwościom dramatycznego wypowiedzenia się kompozytora. Libretto sprawiło, że powstał raczej fresk operowy, niż opera.

W „Marcholcie” pociągnąć musiała Kondrackiego polskość atmosfery i owa misteryjność